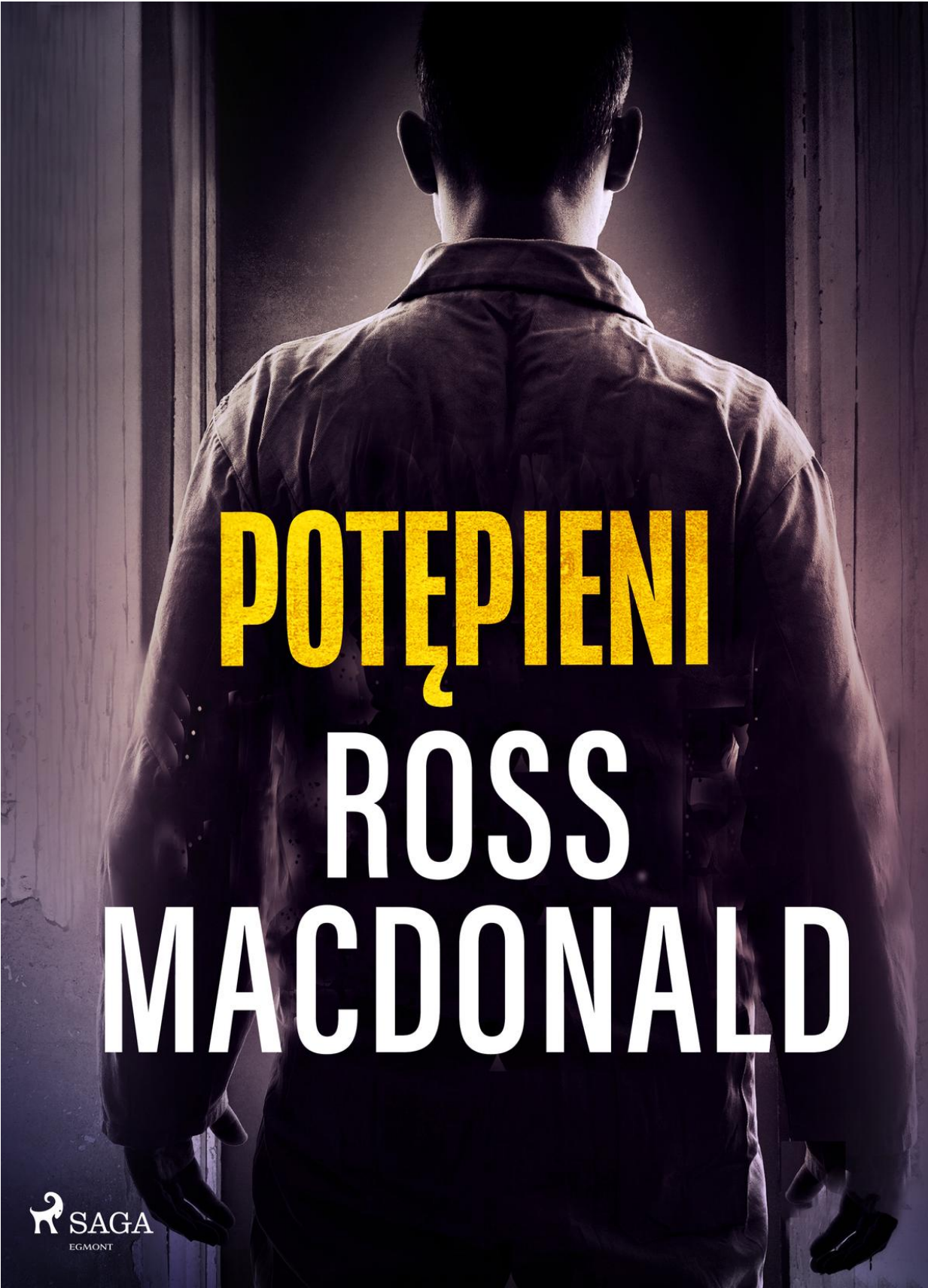


**POTĘPIENI**  
**ROSS**  
**MACDONALD**



**POTEPIENI**  
**ROSS**  
**MACDONALD**

 **SAGA**  
EGMONT

Ross Macdonald

# Potępieni

Przekład:  
Dorota Wieczorek  
Włodzimierz Grabowski

Saga

*Potępieni*

Tłumaczenie Dorota Wieczorek i Włodzimierz Grabowski

Tytuł oryginału *The Doomsters*

Język oryginału angielskiego

Zdjęcie na okładce: Shutterstock  
Copyright © 1958, 2021 Ross Macdonald i SAGA Egmont

Wszystkie prawa zastrzeżone

ISBN: 9788726279337

1. Wydanie w formie e-booka  
Format: EPUB 3.0

Ta książka jest chroniona prawem autorskim. Kopiowanie do celów innych niż do użytku własnego jest dozwolone wyłącznie za zgodą Wydawcy oraz autora.

[www.sagaegmont.com](http://www.sagaegmont.com)  
SAGA Egmont, spółka wydawnictwa Egmont

# ROZDZIAŁ 1

Śniłem o nie owłosionej małpie, która samotnie żyła w swojej klatce. Jej problemem było to, że ludzie ciągle starali się dostać do niej, do środka. To sprawiało, że małpa znajdowała się zawsze w stanie nerwowego napięcia. Obudziłem się spocony, świadomy czyjejś obecności przy drzwiach mojego domu. Nie przy drzwiach frontowych, ale przy bocznych, które prowadziły do garażu. Przechodząc na bosaka po zimnym, kuchennym linoleum, zobaczyłem za oknem pierwsze poranne promyki słońca. Kimkolwiek był ten człowiek po drugiej stronie drzwi, pukał teraz cicho i uparcie. Włączyłem zewnętrzne światło i otworzyłem drzwi. Oświetlony nie osłoniętą, garażową żarówką ogromny, młody mężczyzna w roboczych spodniach niezręcznie cofnął się o krok. W jego jasnych, szczecinowatych włosach tkwiły drobiny kurzu. Jego nie zmrużone, bladoniebieskie oczy w dziwacznie patetyczny sposób patrzyły do góry na światło.

— Niech pan to wyłączy, dobrze?

— Chciałbym coś jednak zobaczyć...

— Wystarczy. — Spojrzał przez otwarte drzwi od garażu na cichą, szarą ulicę. — Nie chcę być widziany.

— W każdej chwili możesz odejść. — Przyjrzałem mu się jeszcze raz i od razu pożałowałem mojej nieuprzejmości. Żółtawy odcień jego skóry był czymś więcej, niż tylko złudzeniem spowodowanym przez światło. Naprawdę mógł być w złej formie. Spojrzał znowu w stronę nieprzyjaznej ulicy.

— Mogę wejść? Pan Archer, prawda?

— Trochę za wcześnie na wizytę i nie wiem, jak się nazywasz...

— Carl Hallman. Wiem, że jest wcześnie. Nie spałem całą noc. — Zwinnie przechylił się w stronę drzwi i zatarasował wejście. Jego ręka była czarna od brudu i miała krwawiące zadrapania.

— Miałeś wypadek, Hallman?

— Nie. — Zawahał się i dodał wolno: — Był wypadek. Tylko, że nie zdarzył się on mnie.

— A komu?

— Mojemu ojcu. Zabiło go.

— Czy stało się to zeszłej nocy?

— Nie, sześć miesięcy temu. To jest jedna z tych rzeczy, o których chciałbym z panem porozmawiać. Poświęci mi pan trochę czasu?

Klient przed śniadaniem był ostatnią rzeczą, której potrzebowałem tego ranka. To był jeden z tych momentów, kiedy trzeba było podjąć decyzję; czy pomoże się drugiemu człowiekowi, czy też lepiej jest zająć się własnymi sprawami i własną wygodą. Zaciekawilo mnie jednak, że ten człowiek, szczególnie jego sposób mówienia, zupełnie nie pasował do podartego ubrania i zabłoconych butów.

— Wchodź... — Chyba mnie nie słyszał, bo jego świecące oczy zbyt długo utkwione były w mojej twarzy. — Wejdz do środka, Hallman. Pewnie jest ci zimno w tym stroju.

— O, przepraszam. — Wszedł do kuchni. Był prawie tak szeroki jak kuchenne drzwi. — Chyba robię panu cholernie dużo kłopotu, niepokojąc tak wcześnie...

— To żaden kłopot, jeśli to pilne.

Zamknąłem drzwi i włączyłem ekspres do kawy. Carl Hallman nadal stał na środku kuchni. Podsunąłem mu krzesło. Czuć było od niego zapach wsi.

— Usiądź i opowiedz mi o tym.

— Chodzi o to, że ja nic nie wiem. Nawet nie wiem, czy to jest pilne.

— W takim razie, po co ten pośpiech?

— Przepraszam. Wydaję się mówić od rzeczy, prawda? Przez pół nocy biegłem.

— Skąd?

— Z pewnego miejsca. Nieważne skąd. — Jego twarz straciła wyraz. Był jakby nieobecny. Chyba przypominał sobie to miejsce.

Myśl, którą starałem się od siebie odsunąć, powróciła do mnie. Przecież Carl Hallman miał na sobie więzienne ubranie! Także w jego zachowaniu można było dostrzec tę niezręczną uległość, która charakteryzuje ludzi przebywających w więzieniu. Było w nim coś dziwnego, co mogło być jednym z wielu sposobów, w jaki przejawia się w człowieku poczucie winy. Zmieniłem taktykę: — Czy ktoś polecił ci mnie?

— Tak, przyjaciel dał mi pana nazwisko. Jest pan prywatnym detektywem, prawda?

Przytaknąłem.

— A jak się nazywa twój przyjaciel?

— Nie sędzę, by go pan pamiętał. — Carl Hallman wyglądał na zakłopotanego. Zatarł swoje brudne ręce i spojrzał na podłogę. — Nie wiem, czy mój przyjaciel życzyłby sobie, bym podawał jego nazwisko.

— On jednak posłużył się moim...

— To zupełnie inna sprawa. Ma pan coś w rodzaju społecznej posady.

— Tak więc uważasz mnie za pracownika społecznego? Nie będziemy się dłużej bawić w zgadywanki, Carl...

Kawa była gotowa. Przypomniało mi to, że jest mi przecież zimno. Poszedłem do sypialni po szlafrok i kapcie. Spojrzałem na pistolet w szafce i zdecydowałem się jednak

go nie brać. Kiedy wróciłem do kuchni, Carl Hallman siedział w tej samej pozycji.

— Co zamierza pan zrobić? — zapytał ponuro.

— Wypić filiżankę kawy, a ty?

— Nie, dziękuję, niczego nie potrzebuję.

Nalałem mu jednak kawy, którą wypił chciwie.

— Jesteś głodny?

— Pan jest bardzo uprzejmy, ale nie chciałbym sprawiać...

— Usmażę kilka jajek.

— Nie. Nie chcę, żeby pan to robił. — Jego głos stał się nagle wysoki i widać było, że już go nie kontroluje.

Dziwaczny głos, wydobywający się z jego szerokiej, walcowatej klatki piersiowej brzmiał jak głos małego chłopca, który woła ze swojej kryjowki. — Jest pan na mnie zły...

Powiedziałem jak do małego chłopca: — Nie denerwuję się tak szybko. Zapytałem cię o tamto nazwisko, ale nie chciałeś mi go podać. Masz swoje powody. W porządku. O co chodzi, Carl?

— Nie wiem. Kiedy podniósł pan na mnie przed chwilą głos, mój ojciec był jedyną osobą, jaka przyszła mi na myśl. On zawsze podnosił głos. Tej ostatniej nocy...

Czekałem, ale to było wszystko, co usłyszałem. Carl wydał z siebie głos, który mógł być zduszonym łkaniem lub jękiem bólu. Odwrócił się ode mnie i zapatrzył w ekspres do kawy, stojący na kuchennym stoliku. Fusy w górnej jego części wyglądały jak czarny piasek w klepsydrze, która nie pozwalała na swobodny przepływ czasu. Usmażyłem na maśle sześć jajek i przygotowałem kilka tostów. Carl pochłonął swoją porcję, ja też, i na koniec rozlałem resztę kawy.

— Dobrze mnie pan traktuje — powiedział znad swojej filiżanki. — Lepiej niż na to zasługuję.

— Zawsze w ten sposób obsługujemy klientów. Czujesz się lepiej?

— Fizycznie lepiej. Emocjonalnie... — nie dokończył. Nie pozwalając sobie na chwilę słabości powiedział spokojnie:

— Dobra kawa. Tam, w szpitalu strasznie doprawiali ją cykorią.

— A więc byłeś w szpitalu?

— Tak, w Szpitalu Stanowym. Nie wstydzę się tego — dodał przekornie, pilnie obserwując moją reakcję.

— Co się stało?

— Lekarz stwierdził depresję maniackalną. Osobiście nie sądzę, żeby mi to dolegało. Byłem może trochę nerwowy, ale to już przeszłość.

— Zwolnili cię?

Pochylił się nad filiżanką i patrzył na mnie spode łba.

— Uciekłeś?

— Tak. — Mówienie o tym nie przychodziło mu łatwo. — Było inaczej niż pan myśli... Byłem już zupełnie wyleczony i mieli mnie zwolnić, ale mój brat nie chciał im na to pozwolić. Bardzo chciał, żebym był tam zamknięty — mówił dalej jakby śpiewając. — Jerry chciał, bym gnił tam do dziś...

To, co mówił, brzmiało znajomo. Ludzie, których umieszczano w izolacji, zawsze kogoś za to obwiniali, najczęściej winny jest któryś z ich bliskich znajomych.

— Czy jesteś absolutnie pewien, że brat chce, byś tam został?

— Tak. On mnie tam wsadził. To on razem z doktorem Grantlandem zmusili Mildred, żeby podpisała odpowiednie papiery. Gdy raz tam się znalazłem, on odizolował mnie zupełnie. Nigdy mnie nie odwiedzał i kazał im kontrolować moją korespondencję tak, że nie mogłem nawet pisać listów. — Zaczął mówić coraz szybciej. Zatrzymał się, żeby przełknąć ślinę i kontynuował: — Pewnie pan nie zna tego

uczucia, jak się czuje człowiek, gdy jest izolowany tak, że nie wie nawet, co się dzieje. Oczywiście Mildred odwiedzała mnie, kiedy tylko mogła, ale i ona nie wiedziała dokładnie, co się dzieje. Nie było tam możliwości, byśmy mogli swobodnie porozmawiać o sprawach rodzinnych. Mogła mnie odwiedzać tylko na dużej sali i zawsze przysyłali pielęgniarkę, żeby mogła słuchać, o czym rozmawiamy. Wyglądało na to, że nie można mi zaufać nawet wtedy, gdy byłem z własną żoną.

— Dlaczego, Carl? Czy byłeś agresywny?

Jakby go ktoś uderzył, schował głowę w ramiona. Spojrzałem na niego uważnie i doszedłem do wniosku, że nie potrzeba było wiele, by wyprowadzić go z równowagi. Jego umięśnione ramiona były tak szerokie, że swobodnie mógłby założyć jarzmo wołu. Kontynuował swoją opowieść:

— Zrobiłem z siebie głupca na początku. Podarłem kilka materacy, więc założyli mi kaftan bezpieczeństwa. Nigdy jednak nie zrobiłem nikomu krzywdy, przynajmniej nie przypominam sobie nic takiego... — Powiedział to bardzo cicho, ale zaraz dokończył normalnym głosem: — Nigdy później to już się nie powtórzyło. Nie chciałem dawać im żadnego powodu, by trzymali mnie w zamknięciu, ale oni i tak to zrobili. Nie mieli do tego żadnego prawa.

— Przeskoczyłeś więc przez mur...

Sspojrzał na mnie zdziwiony. Otworzył szeroko swoje jasne oczy i zapytał:

— Skąd pan wie, że przeskoczyliśmy przez mur?!

Nie miałem ochoty mu wyjaśniać, że jest to po prostu taka przerośń, którą on wziął zbyt dosłownie.

— Więc nie uciekłeś sam, co?

Nie odpowiedział. Zmrużył oczy patrząc podejrzliwie.

— Gdzie są inni, Carl?

— Jest tylko jeszcze jeden. Nie ma znaczenia, kim on jest. I tak przeczyta pan o tym w gazetach.

— Niekoniecznie. Nie publikują takich wiadomości;  
chyba że uciekinierzy są niebezpieczni...

## ROZDZIAŁ 2

Pozwoliłem, by po moich ostatnich słowach zaległa cisza. Carl Hallman patrzył przez okno, gdzie bez zakłóceń wstawał ranek. Z ulicy dochodziły odgłosy porannego ruchu. Spojrzał na drzwi, którymi wszedł. Jego ciało było mocne, a na szyi wyraźnie odznaczały się żyły i ścięgna. Wyglądał na skupionego.

Nagle wstał, gwałtownie wywracając krzesło, które poleciało w stronę drzwi. Powiedziałem ostro:

— Podnieś to krzesło!

Zatrzymał się z ręką na klamce. Moje słowa rozgniewały go.

— Niech mi pan nie rozkazuje. Nie pozwolę, by mi rozkazywano.

— To tylko sugestia, chłopcze.

— Nie jestem chłopcem.

— Dla mnie - tak. Mam czterdzieści lat, a ty?

— To nie pański... — zatrzymał się nie będąc pewnym, czy warto kontynuować kłótnię. — Mam dwadzieścia cztery lata.

— Zachowuj się więc tak, jak przystało na twój wiek. Podnieś krzesło i porozmawiamy o tym wszystkim. Chyba nie chcesz dalej uciekać?

— Wcale nie chcę. Nigdy nie chciałem. Po prostu, muszę dostać się do domu i uporządkować ten bałagan. Nie obchodzi mnie, co stanie się później.

— Powinno cię to obchodzić. Jesteś młody. Masz żonę i przyszłość przed sobą.

— Mildred zasługuje na kogoś lepszego niż ja. Nie ma dla mnie przyszłości.

Mimo wszystko odwrócił się od drzwi, od jasnego i trwożliwego poranka za nimi. Podniósł krzesło i usiadł na nim. Ja siadłem na stole kuchennym spoglądając na niego z góry. Napięcie spowodowało, że zaczął się pocić. Na jego twarzy widoczne były kropelki potu i miał całkiem mokry przód koszuli. Jego głos zabrzmiał bardzo młodo, gdy powiedział:

— Pan pewnie myśli, że jestem wariatem, prawda?

— Nieważne, co ja myślę. Nie jestem twoim psychoanalitykiem. Jeśli jesteś stuknięty, potrzebujesz lekarza. Jeżeli jednak nie jesteś wariatem, będzie to cholernie trudno udowodnić. Powinieneś wrócić do szpitala i dać się zbadać.

— Wrócić? Chyba pan zwar... — powstrzymał się od dokończenia.

Roześmiałem mu się prosto w twarz, gdyż zabrzmiało to zabawnie, i pomyślałem sobie, że dobrze mu to robi.

— Zwariowałem? Dalej, wykrztuś to z siebie! Nie obrażę się. Mam przyjaciela, psychiatrę, który powiedział kiedyś, że powinno się zbudować szpital psychiatryczny na zawiasach. Od czasu do czasu należałoby go obracać na drugą stronę, tak, aby ludzie z zewnątrz znaleźli się w środku, a ci ze środka powędrowali na zewnątrz. Myślę, że coś w tym jest...

— Żartuje pan sobie ze mnie.

— A nawet jeśli tak, to co? Żyjemy przecież w wolnym kraju.

— To prawda, ale dlatego nie może mnie pan zmusić, żebym tam wrócił.

— Sądzę, że powinieneś. W ten sposób unikniesz dalszych kłopotów.

— Nie mogę tam wrócić. Oni by nigdy mnie już nie wypuścili.

— Wypuszcza cię, kiedy będziesz gotowy. Jeżeli wrócisz dobrowolnie, nie powinieneś mieć większych kłopotów. Kiedy nawiałeś?

— Zeszłej nocy, zaraz po kolacji. Ustawiliśmy ławki pod ścianą na podwórzu. Pomogłem temu kumpłowi dostać się na górę, a potem on pomógł mi wspiać się za nim, zrzucając sznur ze związanych prześcieradeł. Myślę, że nikt nas nie widział. Tom, ten kumpel, który był ze mną, miał przygotowany samochód. Podwiózł mnie kawałek, a dalej ruszyłem pieszo.

— Czy jest lekarz, z którym mógłbyś porozmawiać, gdybyś wrócił?

— Lekarz?! — To było brudne słowo w jego języku. — Zbyt wielu lekarzy już widziałem. To banda oszustów, a doktor Grantland jest z nich najgorszy. On nie powinien wykonywać tego zawodu...

— W porządku, zabierzemy mu jego uprawnienia.

Spojrzał na mnie zaskoczony. Bardzo łatwo można było go zaskoczyć. Był wyraźnie zły na mnie.

— Nie traktuje mnie pan poważnie. Przyszedłem tu po pomoc, a wszystko, co dostaję, to głupie rady i kiepskie dowcipy. To mnie zaczyna wkurzać.

— W porządku. Żyjemy w wolnym kraju...

— Niech pana diabli wezmą!

Nie przejąłem się tym zbyt. Carl siedział przez jakiś czas ze zwieszoną głową, w zupełnym milczeniu. W końcu powiedział:

— Mój ojciec to senator Hallman z Purissimy. Czy mówi panu coś to nazwisko?

— Czytałem w gazecie, że umarł zeszłej wiosny.

Przytaknął nerwowo.

— Zamknęli mnie następnego dnia i nawet nie pozwolili pójść na pogrzeb. Wiem, że wtedy trochę za bardzo się zdenerwowałem, ale oni nie mieli prawa tego zrobić. Zrobili to, bo nie chcieli, bym coś zauważył...

— Kim są ci oni?

— Jerry i Zinnie. Zinnie jest moją bratową. Ona zawsze mnie nienawidziła i owinęła sobie Jerry'ego wokół małego palca. Chcieliby, żebym był zamknięty do końca życia, bo wtedy mogliby zagarnąć cały majątek dla siebie.

— Skąd o tym wiesz?

— Miałem wystarczająco dużo czasu, by to przemyśleć. Przez sześć miesięcy zdołałem sobie wszystko poskładać. Później dowiedziałem się czegoś o doktorze Grantlandzie. Teraz jest dla mnie jasne, że zapłacili mu, żeby skierował mnie na leczenie. Może nawet zapłacili mu, by zabił ojca...

— Myślałem, że śmierć twojego ojca nastąpiła w wyniku wypadku.

— Zdaniem doktora Grantlanda był to wypadek. — Oczy Carla były rozpalone i tajemnicze. Nie podobał mi się sposób, w jaki na mnie patrzył. — Możliwe, że to był wypadek, ale tak się składa, że znam pewną skazę, która może zaszkodzić reputacji doktora Grantlanda. Dowiedziałem się o tym w zeszłym tygodniu...

Trudno było ocenić, czy mówi prawdę, czy tylko fantazjuje. Jak każdy prywatny detektyw miałem już do czynienia z wariatami, ale nie byłem ekspertem w rozpoznawaniu ich. Czasami nawet eksperci mają trudności z odróżnieniem uzasadnionych podejrzeń od paranoidalnych urojeń. Starłem się pozostać neutralnym.

— Skąd otrzymałeś te informacje o doktorze Grantlandzie?

— Obiecałem nikomu o tym nie mówić. Dotyczy to jednego... Dotyczy to kilku innych ludzi.

— Czy rozmawiałeś o swoich podejrzeniach z kimś jeszcze?

— Rozmawiałem o tym z Mildred, gdy odwiedziła mnie ostatnim razem. To było zeszłej niedzieli. Nie mogłem jej zbyt wiele powiedzieć ze względu na tych podsłuchiwczy. Nie wiem za dużo i dlatego musiałem coś zrobić... — Zaczął się znowu denerwować.

— Spokojnie, Carl. Powiedz, czy miałbyś coś przeciwko temu, żebym porozmawiał z twoją żoną?

— O czym?

— O twojej rodzinie, o tobie...

— Jeżeli ona nie będzie miała nic przeciwko temu, to ja też nie.

— Gdzie ona mieszka?

— Na rancho, za Purissimą. Nie, teraz już tam nie mieszka. Gdy trafiłem do szpitala, Mildred nie mogła dalej mieszkać z Jerrym i Zinnie. Przeprowadziła się do Purissimy, do swojej matki. Jej adres: Grant 220... Pokażę panu, możemy pójść tam razem.

— To chyba nie jest dobry pomysł.

— Ale ja muszę! Tyle spraw trzeba wyjaśnić. Nie mogę już dłużej czekać...

— Jeżeli chcesz, bym ci pomógł, będziesz musiał poczekać. Zaproponowałem ci coś, prawda? Pozwól mi zabrać cię do szpitala. To jest po drodze do Purissimy. Porozmawiam wtedy z twoją żoną i sprawdzę, co myśli o twoich podejrzeniach.

— Ona też nie traktuje mnie poważnie.

— Ja traktuję cię poważnie. Do pewnego stopnia. Pokręcę się trochę i dowiem się wszystkiego. Jeżeli rzeczywiście twój brat stara się ciebie oszukać albo ten Grantland robi coś, czego nie powinien, zajmę się tym. A tak przy okazji, biorę pięćdziesiąt na dzień plus wydatki.

— Nie mam teraz pieniędzy. Będę miał ich mnóstwo, gdy dostanę to, co mi się należy.

— W porządku, wracasz do szpitala i pozwalasz mi wykonać czarną robotę.

Niezbyt chętnie odparł: — W porządku.

Było jasne, że nie podoba mu się mój plan, ale był po prostu zbyt zmęczony, by mu się sprzeciwić.

## ROZDZIAŁ 3

Ranek był jasny i gorący. Brązowe, wrześnieowe wzgórza na horyzoncie wyglądały jak rozwalona ceglana ściana, która wydawała się być na wyciągnięcie ręki. Jechałem bardzo długo, zanim wzgórza zmieniły trochę swój wygląd.

Przez całą drogę Carl Hallman opowiadał mi o swojej rodzinie. Jego ojciec przybył na zachód przed pierwszą wojną światową, mając wystarczającą gotówkę, by nabyć mały gaj pomarańczowy za miastem. Ten stary człowiek był oszczędnym Niemcem i za swego życia zdołał rozszerzyć posiadłość do kilku tysięcy akrów. Jego żona, Alicia, która pochodziła z majątnej rodziny ziemiańskiej, także przyczyniła się do powiększenia majątku.

Zapytałem Carla, czy jego matka żyje.

— Nie, umarła dawno temu.

Nie chciał o niej rozmawiać. Prawdopodobnie bardzo ją kochał lub może kochał ją za mało. Zamiast tego mówił więc o ojcu. Był przy tym bardzo zdenerwowany i zbuntowany, jakby wciąż żył w jego cieniu. Jeremiaś Hallman był ważną osobistością nie tylko w mieście, ale i w całym stanie. Pełnił kilka ważnych funkcji, był nawet senatorem przez jedną kadencję i miejscowym przywódcą politycznym do końca swych dni. Ten człowiek sukcesu zawiódł jednak, jeśli chodzi o przekazanie genów sukcesu swoim synom.

Brat Carla był nie praktykującym prawnikiem. Po ukończeniu studiów prawniczych Jerry przez kilka miesięcy próbował swych sił w Purissimie. Przegrał kilka spraw, zrobił sobie kilku wrogów, nie pozyskał przyjaciół i w końcu

osiedlił się na rodzinnym rancho. Pocieszenia szukał w szklarni pełnej białych orchidei i w snach o czekającej go kiedyś sławie w bliżej nie sprecyzowanej działalności. Jerry zestarzał się przedwcześnie w wieku lat trzydziestu, zdominowany przez swoją żonę, Zinnie, rozwódkę o blond włosach i niepewnym pochodzeniu. Poślubił ją pięć lat temu.

Carl czuł żal zarówno do brata jak i bratowej, i prawie taką samą gorycz odczuwał względem siebie. Wiedział, że całkowicie zawiódł ojca. Kiedy Jerry'emu nic się nie udawało, senator postanowił przekazać rancho Carlowi. Posłał syna do Davis, by studiował rolnictwo. Carla jednak to nie interesowało i wyleciał z uczelni. Mówił, że jego prawdziwą pasją była filozofia. Zdołał przekonać ojca, by posłał go do Berkeley. Tam spotkał swoją obecną żonę — dziewczynę, którą znał ze szkoły średniej — i wkrótce po swoich dwudziestych urodzinach poślubił ją, mimo protestów całej rodziny. To była straszna rzecz, którą zrobił Mildred. Była ona kolejną osobą, jaką zawiódł. Myślała, że wychodzi za mąż za prawdziwego mężczyznę, a już po kilku miesiącach Carl przeżywał pierwsze załamanie nerwowe.

Carl opowiadał o tym wszystkim z bolesną pogardą dla samego siebie. Odwróciłem się na chwilę, by spojrzeć na niego, ale on uciekał ze wzrokiem.

— Nie miałem zamiaru opowiadać o tym drugim załamaniu. Jednak nawet to nie dowodzi, że jestem wariatem. Mildred nigdy nie uważała, że nim jestem, a ona zna mnie lepiej niż ktokolwiek. To stres był powodem tego wszystkiego. Pracowałem wtedy całymi dniami, a potem uczyłem się jeszcze całe noce. Chciałem zostać kimś wielkim, człowiekiem, wobec którego nawet ojciec musiałby czuć respekt. Studiowałem teologię i równocześnie chciałem dostać się na medycynę. Za dużo miałem na

głowie. Załamalem się i trzeba było zabrać mnie do domu. Tak to wygląda...

Spojrzałem na niego znowu. Wyjeżdżaliśmy za miasto i przed nami ukazywała się otwarta przestrzeń. Na prawo od autostrady, pod niebieskim niebem leżała spokojna dolina. Carl nie zwracał jednak uwagi na świat zewnętrzny. Sprawiał wrażenie człowieka uwięzionego, uwięzionego w sobie i w swojej przeszłości.

— Ostatnie dwa lata były dla nas bardzo ciężkie — opowiadał — szczególnie dla Mildred. Robiła, co mogła, by nic po sobie nie pokazać, ale zajmowanie się domem w takiej dziurze nie było tym, co chciałyby robić w życiu. Ze mnie nie miała pożytku. Przez wiele miesięcy byłem tak przygnębiony, że nie miałem nawet siły ani ochoty, żeby wstać i wyjść na świeże powietrze. Nie wiem, czy to możliwe, ale pamiętam, że przez te wszystkie miesiące nie było ani jednego słonecznego dnia. Było tak ciemno, że ledwo co widziałem, gdy chciałem się ogolić po południu. Inni ludzie w domu byli jak ponure duchy, nawet Mildred, a ja byłem najbardziej ponurym z nich. Miałem wrażenie, że dom się rozpadał. Codziennie marzyłem o trzęsieniu ziemi, które rozwaliloby go do końca i pogrzebałoby nas wszystkich pod jego gruzami — ojca, mnie, Mildred, Jerry'ego i Zinnie. Wiele razy myślałem też o samobójstwie, ale nie zdobyłem się na to. Gdybym miał trochę więcej odwagi lub rozsądku, poddałbym się leczeniu już wtedy. Mildred tego chciała, a ja byłem zbyt dumny, by przyznać, że tego potrzebuję. Ojciec i tak by tego nie zniósł, bo zniesławiloby to całą rodzinę. Ojciec był zdania, że psychiatrzy to oszuści, a jedyne, co mi potrzeba, to dużo ciężkiej pracy. Ciągle mi powtarzał, że się ze sobą cackam i że skończę tak samo jak matka, jeśli nie doświadczę życia i nie stanę się mężczyzną...

Żałośnie pociągnął nosem i zamilkł. Mogłem zapytać go, jak umarła jego matka, ale zawahałem się jednak. Ten chłopak kopał głęboko w swojej przeszłości i nie chciałem, żeby za chwilę zupełnie stracił panowanie nad sobą. Ponieważ opowiedział już o swoim załamaniu nerwowym i o następującej po nim samobójczej depresji, moim jedynym celem w tym momencie było odstawienie go do szpitala. Było już niedaleko i nie mogłem się doczekać, kiedy tam dojedziemy.

— W końcu — ciągnął Carl — zacząłem pracować na rancho. Ojciec musiał się oszczędzać, bo serce mocno mu dokuczało, i przejąłem od niego część odpowiedzialności. Nie miałem nic przeciwko pracy w sadzie, ze zbieraczami pomarańczy, i sądziłem, że dobrze mi to zrobi, ale na dłuższą metę ta praca przyniosła mi tylko więcej kłopotów. Ojciec i ja wiecznie się kłóciliśmy. On uprawiał pomarańcze, żeby zarobić - im więcej, tym lepiej. Nigdy nie myślał o ludziach. Nie mogłem patrzeć, jak traktował tych zbieraczy pomarańczy. Całe rodziny: mężczyźni, kobiety i dzieci stłoczeni w otwartych ciężarówkach i poganiani jak bydło. Płacił im od skrzynki. Często zatrudniał ich tylko na jeden dzień i po prostu wyganiał. Większość z nich była nielegalnymi imigrantami z Meksyku, bez żadnych praw, co bardzo ojcu odpowiadało, ale mnie nie podobało się wcale. Powiedziałem, co myślę o jego podłych sposobach postępowania z robotnikami, że to cywilizowany kraj w dwudziestym wieku i że nie ma prawa traktować ludzi jak niewolników i wyrzucać ich z pracy dlatego tylko, że proszą o płace, z których muszą żyć. Powiedziałem mu, że jest zepsutym, starym człowiekiem i że nie zamierzam beczynnie patrzeć, jak wyzyskuje Meksykanów i Japończyków...

— Japończyków? — powtórzyłem.

Carl zaczął mówić teraz bardzo szybko, tak szybko, że już nie mogłem za nim nadążyć. Jego oczy błyszczały niezdrowym blaskiem i miał wypieki na policzkach.

— Tak. Wstyd mi to przyznać, ale mój ojciec oszukiwał nawet swoich najlepszych przyjaciół, Japończyków. Przed wojną, kiedy byłem dzieckiem, było ich bardzo wielu w naszym kraju. Mieli setki akrów ogrodów warzywnych pomiędzy naszym ranchem a miastem. Teraz już ich prawie nie ma. Wojna wypędziła ich stąd i nigdy już tu nie wrócą. Ojciec kupił ich ziemie za grosze. Mówiłem, że jak tylko dostanę swoją część, to oddam ją tym ludziom, którym się prawnie należy. Najmę detektywów, odszukam prawnych właścicieli tej ziemi i oddam ją. Naprawdę zamierzałem tak zrobić i nadal tego pragnę, więc nie pozwolę, by Jerry zabrał rancho. Ono nie należy do nas i musimy je zwrócić! Ojciec stwierdził, że to nonsens, bo kupił te ziemie uczciwie. Naprawdę myślał, że oszalałem. Wszyscy tak myśleli, nawet Mildred. Tamtej nocy mieliśmy wielką awanturę z tego powodu. To było straszne... Jerry i Zinnie starali się ustawiać ojca przeciwko mnie, a Mildred chciała pozostać neutralna i zaprowadzić spokój. Biedna Mildred... Zawsze starała się być bezstronna. Sądzę, że miała rację. Nie zachowywałem się zbyt sensownie. Zapomniałem nawet, że ojciec był chorym człowiekiem. Nieważne, czy miałem rację, czy nie — ale, oczywiście, miałem wtedy rację — ojciec jednak nie mógł znieść tej rodzinnej sprzeczki...

Skręciłem z autostrady w prawo, na drogę prowadzącą przez pola obok ogromnego żywopłotu skomponowanego z eukaliptusów. Drzewa wyglądały staro i żałośnie. Pola były puste.

## ROZDZIAŁ 4

Carl siedział czas jakiś napięty i milczący. Potem znowu zaczął:

— Czy pan wie, panie Archer, że słowa mogą zabić? Można zabić starego człowieka kłócąc się z nim. W ten właśnie sposób zabiłem mojego ojca. Przynajmniej — powiedział innym tonem — tak myślałem przez ostatnie sześć miesięcy: że to ja jestem odpowiedzialny za jego śmierć. Ojciec umarł właśnie tej nocy... Umarł w wannie. Gdy doktor Grantland go zbadał, orzekł, że miał atak serca. Atak spowodowany był zbyt wielkim napięciem emocjonalnym. Nie tylko ja sam winiłem siebie za jego śmierć. Jerry i Zinnie także mnie obwiniali. To chyba zupełnie normalne, że w takiej sytuacji straciłem panowanie nad sobą. Sądziłem, że jestem mordercą własnego ojca... — Przerwał. — Ale teraz już nie jestem taki pewien — wyjaśnił po chwili. — Kiedy dowiedziałem się kilku rzeczy o doktorze Grantlandzie, przemyślałem to raz jeszcze. Dlaczego miałbym wierzyć takiemu człowiekowi? On nie ma nawet prawa nazywać siebie lekarzem! Ta niepewność jest czymś, czego nie mogę już dłużej znieść. Czy pan rozumie?! Jeżeli ojciec naprawdę umarł na atak serca, to ja jestem odpowiedzialny za jego śmierć!

— Niekoniecznie. Starzy ludzie umierają każdego dnia.

— Niech pan nie stara się wszystkiego jeszcze bardziej powikłać — odparł władczo. — Dla mnie jest jasne, że jeżeli ojciec zmarł na atak serca, to ja zabiłem go własnymi słowami i jestem mordercą! Jeżeli jednak umarł w jakiś inny

sposób, wtedy mordercą jest ktoś inny i doktor Grantland chce to ukryć.

Byłem już całkowicie przekonany, że słucham paranoicznych omamów. Starłem się zachowywać delikatnie, by nie rozgniewać Carla.

— Nie wydaje mi się to zbyt prawdopodobne. Może teraz trochę odpoczniesz, co? Pomyśl o czymś innym...

— Nie mogę! — krzyknął. — Musi mi pan pomóc odkryć prawdę! Obiecał pan, że mi pomoże...

— Pomogę... — zacząłem. I nagle Carl złapał mnie za prawy łokieć. Wóz skręcił na pobocze ryjąc kołami żwir. Zahamowałem, starając się oderwać ręce Carla od moich i wyprostować kierownicę. Samochód zatrzymał się na krawędzi pobocza, jednym bokiem w płytkim rowie.

— Co ty wyprawiasz?!

Nic go nie obchodziło albo był kompletnie nieświadomy tego, co się przed chwilą stało.

— Musi mi pan uwierzyć! — odezwał się. — Ktoś musi mi wierzyć...

— Ty przecież sam sobie nie wierzysz. Opowiedziałeś mi już dwie historie. Ciekawe, ile jeszcze ich masz...

— Myśli pan, że kłamię?

— Nie. Myślę tylko, że twój umysł potrzebuje uporządkowania. Tylko ty sam możesz to zrobić. Szpital jest odpowiednim miejscem do tego.

Zabudowania szpitalne można już było dostrzec między wzgórzami. Zauważyliśmy je równocześnie.

— Nie, nie wrócę tam! Obiecał mi pan pomóc, ale widzę, że nie ma pan zamiaru. Jest pan taki, jak inni. Będę musiał poradzić sobie sam.

— Co chcesz zrobić?

— Znaleźć prawdę. Odkryć, kto zabił mojego ojca i podać go do sądu.

— Trochę za szybko się denerwujesz — zacząłem łagodnie.

— Dotrzymaj swojej części umowy, a ja dotrzymam mojej. Wróć do szpitala i wydobrzej, a ja dowiem się wszystkiego...

— Tylko tak pan mówi... Tak naprawdę, to nic pan nie zamierza zrobić...

— Tak sądzisz? — Milczał. Starając się przekonać go, że jestem po jego stronie, powiedziałem: — Bardzo byś mi ułatwił sprawę, gdybyś powiedział, co wiesz o tym Grantlandzie...

— Mówiłem prawdę. Wiadomości otrzymałem z pewnego źródła - od człowieka, który zna go osobiście.

— Czy tym człowiekiem jest inny pacjent?

— Tak. On jest pacjentem, ale to nie ma znaczenia. On jest całkowicie normalny. Z jego głową jest wszystko w porządku.

— On tak twierdzi, tak?

— Nie tylko, lekarze też tak uważają. Znalazł się w szpitalu, bo jest narkomanem.

— To nie czyni z niego dobrego świadka.

— On powiedział mi prawdę! Zna doktora Grantlanda od lat i wie o nim wszystko. Grantland zaopatrywał go w narkotyki!

— Bardzo niedobrze, jeśli to prawda, ale to wcale nie wskazuje na to, by był mordercą...

— Rozumiem. — Carl był niepocieszony. — Chce pan, bym myślał, że to ja go zabiłem. Nie daje mi pan żadnej nadziei...

— Posłuchaj... — zacząłem.

Niestety, już nie można było z nim się porozumieć. Zamknął się głęboko w sobie, rozpamiętując ukrywaną tragedię. Pociągnął nosem i nagle, bez żadnego ostrzeżenia, rzucił się na mnie. Jego oczy napełnione były tępym bólem. Chwycił mnie za gardło. Będąc

unieruchomionym za kierownicą, starałem się chwycić za klamkę, by zyskać trochę więcej przestrzeni. Carl był jednak szybszy, jego wielkie dłonie zwały się na mojej szyi. Uderzyłem go prawą pięścią w twarz, ale on prawie tego nie zauważył.

Zobaczyłem jego twarz tuż przy mojej. Była ogromna i tępa, pokryta kropelkami potu. Trząśł mną. Zaczęło mi się robić ciemno przed oczami.

— Puść mnie — dyszałem — ty cholerny głupcze.. —  
Moje słowa były jednak już tylko szeptem.

Uderzyłem go jeszcze raz, ale znowu bez większego rezultatu. Jedna z jego rąk puściła moją szyję i napierała teraz silnie na moją szczękę. W tym momencie wypadłem z samochodu.

Po chwili odzyskałem świadomość w podmokłym rowie i pierwsze, co zauważyłem, to były ślady opon samochodu. Gdy wstałem, pola pocięte jak szachownica kołysały się wokół mnie i dopiero po chwili wszystko stanęło w miejscu. Czułem się niesamowicie mały, tak mały, jak główka od szpilki rzuconej na mapę.

## ROZDZIAŁ 5

Zdjąłem kurtkę i otrzepałem z kurzu. Ruszyłem w kierunku szpitala. Położony był wśród pól. Nie otoczono go murami prawdopodobnie dlatego, że z trzech stron rozciągały się nagie, urwiste wzgórza. Szerokie aleje rozdzielały betonowe zabudowania, które z zewnątrz niczym nie zdradzały, do czego były przeznaczone. Ludzie przechadzający się po chodnikach nie różnili się zbytnio od normalnych obywateli, poza jedną rzeczą — nie było tu pośpiechu. Nie było dokąd się spieszyć. Zatopione w słońcu miejsce z masywnymi budynkami o nieznanym przeznaczeniu wyglądało nierealnie. Być może brakowało tu tylko pośpiechu?

Gruby mężczyzna w niebieskich dżinsach wynurzył się zza zaparkowanego samochodu i zwrócił się do mnie, pytając w nienaturalnie grzeczny sposób, czy nie zechciałbym kupić skózanego etui do moich kluczyków od samochodu.

— To bardzo dobra skóra, proszę pana. Ręcznie zdobiona w szpitalu. — Zademonstrował.

— Nie, dziękuję, na nic mi się teraz nie przyda. Gdzie mogę zasięgnąć informacji o pacjencie?

— Zależy na jakim jest oddziale.

— Nie wiem.

— Najlepiej niech pan zapyta w administracji. — Wskazał na nowy, biały budynek przy skrzyżowaniu dwóch alejek.

Człowiek ten najwidoczniej nie chciał się ze mną rozstawać, gdyż starał się kontynuować naszą konwersację:

— Przyjechał pan autobusem?

— Nie, przyszedłem pieszo.

— Z Los Angeles?

— Prawie.

— Bez samochodu, co?

— Ukradziono mi samochód.

— To niedobrze. Widzi pan, ja mieszkam w Los Angeles. Mam bagażówkę buicka, jeszcze całkiem niezłą. Jest w garażu. Moja żona trzyma ją na klockach. Mówią, że to chroni opony przed zniszczeniem.

— Dobry pomysł.

— Tak — zgodził się ze mną. — Chcę, by mój wóz był w dobrym stanie.

Szerokie, betonowe stopnie zaprowadziły mnie do budynku administracji. Włożyłem kurtkę na mokrą jeszcze koszulę i wszedłem przez szklane drzwi. Uprzejma brunetka, siedząca w okienku informacyjnym, obdarzyła mnie profesjonalnym uśmiechem.

— Czy mogę panu w czymś pomóc?

— Chciałbym się widzieć z dyrektorem naczelnym tego szpitala.

Jej uśmiech jakby trochę przygasł.

— Doktor jest dzisiaj bardzo zajęty. Pana nazwisko?

— Archer.

— I chciałby pan widzieć się z dyrektorem w sprawie...

— W sprawie poufnej.

— Czy chodzi o jednego z naszych pacjentów?

— Tak.

— Czy jest pan kimś z rodziny pacjenta?

— Nie.

— O którego pacjenta chodzi i co dokładnie pana interesuje, panie Archer?

— Wolałbym porozmawiać z dyrektorem.

— Być może będzie musiał pan czekać na niego cały ranek. Ma serię spotkań. Nie potrafię panu powiedzieć, czy